

Nagroda Radia Olsztyn

Justyna Bronowicka

Godło: Kocyk

Protokół z baśni

Przez trzydzieści sześć lat pisałem to, co ludzie mówili mi do okienka. Nie wszystko. Tylko to, co nadawało się do rubryk: imię, nazwisko, data urodzenia, stan cywilny, numer aktu, podpis. Reszta zostawała po ich stronie szyby, choć nieraz widziałem, jak napierała na usta mocniej niż prawda.

W urzędzie człowiek szybko uczy się, że życie ma postać formularza. Jest rubryka na narodziny i rubryka na śmierć, rubryka na małżeństwo i rozwód, rubryka na zmianę nazwiska, jakby nazwisko było płaszczem, który można oddać, gdy zacznie ciążyć. Papier przyjmuje wszystko spokojnie. Nie pyta, czy ktoś kochał, zanim się pobrał, ani czy przestał kochać, zanim się rozwiódł. Potrzebuje daty, miejsca i podstawy prawnej.

Ludzie potrzebowali czegoś innego.

Przychodzili z teczkami pod pachą, z dowodami w ręku, z aktami pożółkłymi od strychów i wilgoci. Czasem mówili od razu, po co

przyszli. Czasem najpierw milczeli, jakby sprawdzali, czy człowiek po drugiej stronie biurka nadaje się do wysłuchania czegoś, czego i tak nie wpisze do protokołu. Wtedy podsuwałem krzesło. Nie było tego w zakresie obowiązków, ale przez lata nauczyłem się, że krzesło bywa pierwszą zgodą państwa na ludzką słabość.

Najwięcej opowieści przynosili po śmierci. Żywy człowiek jeszcze jakoś siebie pilnuje: twarz, nazwisko, zawód, porządek dnia. Umarły wszystko rozwiązuje. Po nim zostają dokumenty, a z dokumentami wychodzą z szaf głosy, pretensje, niewypowiedziane zdania, dzieci nieuznane, bracia odsunięci od stołu, matki, które całe życie udawały, że nie pamiętają. I wtedy przychodzili do mnie, choć niby tylko po odpis.

Pewna kobieta przyszła kiedyś po akt zgonu ojca. Miała może pięćdziesiąt lat, ale ręce trzymała jak dziewczynka wezwana do odpowiedzi. Powiedziała, że ojciec był dobrym człowiekiem, tylko nie umiał mówić. Potem dodała, że jak pił, to umiał. Chciała, żebym sprawdził, czy w akcie da się poprawić drugie imię, bo matka zawsze mówiła na niego inaczej. W dokumentach był Józef Antoni, w domu Antoni Józef. Powiedziałem, że bez podstawy nie można. Pokiwała głową i zaczęła opowiadać, że ojciec wrócił po wojnie z jedną walizką, w której nie było nic oprócz koszuli i grzebienia. Matka mówiła dzieciom, że resztę zabrał smok.

Nie uśmiechnąłem się. To ważne, żeby się nie uśmiechać, kiedy ktoś pokazuje, czym zatkał dziurę w życiu.

Kobieta powiedziała, że dopiero jako dorosła zrozumiała, iż smokiem musiał być strach albo głód, albo inna kobieta, albo zwykły pociąg, którym ojciec nie zdążył pojechać. Ale jako dziecko widziała tego smoka dokładnie. Leżał pod łóżkiem ojca i pilnował walizki. Kiedy ojciec krzyczał w nocy, myślała, że smok znowu chce mu zabrać koszulę.

W akcie nie poprawiłem nic. Nie było podstawy. Wydałem odpis i przybiłem pieczęć. Wyszła z nim ostrożnie, jakby niosła nie papier, lecz resztkę łuski.

Nie wiem, czy człowiek rodzi się z baśnią w środku, czy dopiero mu ją wkładają. Matka, ojciec, sąsiedzi, wojna, bieda, pierwsza miłość, pierwszy wstyd. Może każdy dostaje na początku kilka suchych faktów, a potem musi je sobie obudować, żeby nie stały nagie na środku życia. Ktoś mówi: ojciec odszedł. Ale dziecko nie uniesie takiego zdania, więc robi z ojca rycerza, wygnańca, wilka, króla za siedmioma rzekami. Ktoś mówi: matka nie kochała. Nie da się z tym spać, więc matka zostaje zaczarowana, zła macocha rzuca na nią urok, serce ma zamknięte w szkatułce. Ktoś mówi: nie udało mi się. To też za ciężkie, więc pojawia się fatum, zły znak, czarny pies na drodze, niewłaściwy księżyc nad polem.

W urzędzie te baśnie od razu traciły prawa obywatelskie. Nie miały numerów, pieczętek ani załączników. Zostawały w głosie, w poprawianiu mankietu, w spojrzeniu spuszczonej na blat. Czasem w jednym słowie dopisanym ołówkiem na marginesie kopii, które musiałem oddać, bo ołówka też nie wolno było traktować poważnie.

Najdłużej pamiętam starą nauczycielkę. Przyszła poprawić błąd w nazwisku. Mąż nie żył od dwudziestu lat, dzieci wyjechały, a ona powiedziała, że skoro całe życie była zapisana źle, to przynajmniej po śmierci chce być zapisana prawidłowo. Miała wszystkie dokumenty, ułożone według dat. Była doskonale przygotowana, a jednak mówiła tak, jakby prosiła o cud.

Kiedy sprawdzałem akta, opowiedziała, że mąż przez całe życie nazywał ją królową. Nie z czułości, raczej z drwiny. Królowa z podwórka, królowa od kartofli, królowa jednej pensji. Po jego śmierci znalazła w szafie zeszyt z wydatkami. Na ostatniej stronie było zdanie: „Królowa nie może się dowiedzieć, że sprzedałem zegarek”. Zegarka nie znalazła. Pieniądzy też nie. Ale od tamtej pory myślała o nim lepiej, bo uznała, że skoro zapisał ją jako królową wtedy, gdy nikt nie słyszał, to może przez całe życie mówił prawdę nieudolnie.

Poprawiłem jej nazwisko. Wyszła lżejsza o jedną literę.

Dopiero po przejściu na emeryturę zrozumiałem, że przez te wszystkie lata nie byłem urzędnikiem od dokumentów, tylko od

granicy między tym, co da się zapisać, a tym, bez czego zapis nie ma sensu. Każdy człowiek przychodził z dwiema wersjami siebie. Jedną trzymał w ręku, w kopercie albo teczce. Druga siedziała w nim głęboko, nieporadna, uparta, czasem śmieszna, czasem okrutna. Ta druga nie znała przepisów. Mówiła obrazami, winą, zwierzętami, królami, przekleństwami, utraconymi dziećmi, głosem matki. Była nieweryfikowalna, więc najpewniej prawdziwsza.

Teraz sam porządkuję swoje papiery. Nie dlatego, że umieram, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, lecz dlatego, że człowiek po pewnym wieku zaczyna podejrzewać, iż jego życie może zostać kiedyś streszczone przez kogoś nieuważnego. W jednej teczce mam świadectwo pracy, w drugiej akt małżeństwa, w trzeciej decyzję o emeryturze. Wszystko się zgadza. Daty są równe, nazwiska czytelne, pieczęcie nierozmazane. Z dokumentów wynika, że byłem, pracowałem, ożeniłem się, owdowiałem, pobierałem świadczenie.

Nie wynika z nich, że jako dziecko wierzyłem, iż w studni mieszka koń bez skóry i dlatego nigdy nie piłem wody po zmroku. Nie wynika, że moją żonę zobaczyłem pierwszy raz w kolejce po chleb i przez trzy miesiące chodziłem tam codziennie, choć chleb mieliśmy w domu. Nie wynika, że kiedy umarła, przez tydzień mówiłem do niej przez zamknięte drzwi łazienki, bo tam ostatni raz zostawiła grzebień. Nie wynika, że całe życie myślałem o sobie jako o człowieku rozsądnym, a w środku nosiłem chłopca, który czeka, aż ktoś odczaruje mu dom.

Wziąłem kartkę i zacząłem pisać coś bez formularza. Na początku chciałem sporządzić notatkę dla córki, żeby wiedziała, gdzie co leży. Potem przyszło mi do głowy, że ona nie potrzebuje kolejnego spisu. Spisy kłamią przez to, że są zbyt dokładne.

Napisałem: „Był sobie człowiek, który całe życie przyjmował od innych dowody na istnienie, a własnego nie umiał znaleźć”.

Brzmiało dziecinnie. Skreśliłem. Potem napisałem: „Był sobie człowiek, który siedział za szybą i myślał, że szyba go oddziela”. To było bliższe prawdy, ale wciąż nie to. Prawda, jeżeli istnieje, rzadko przychodzi pierwszym zdaniem.

W końcu zostawiłem tylko: „W środku jesteśmy baśnią”.

Nie dlatego, że jesteśmy zmyśleni. Przeciwnie. Dlatego, że same fakty nie potrafią nas unieść. Potrzebują lasu, w którym można się zgubić, zwierzęcia, które przemówi cudzym głosem, zaklęcia, które nazwie krzywdę, i dziecka, które po latach zrozumie, że potwór spod łóżka był tylko strachem dorosłych, ale to wcale nie znaczy, że nie istniał.

Schowałem kartkę między dokumentami. Bez numeru, bez daty wpływu. Na marginesie, gdzie zwykle zostaje to, czego nie wolno przyjąć, ale czego nie da się wyrzucić.

Jeżeli ktoś kiedyś ją znajdzie, może powie, że stary na koniec
zdziecinniał. Może wyrzuci ją razem z rachunkami. Może przepisze
sobie jedno zdanie i zrobi z niego własne. Tego nie da się uregulować.

I dobrze. Najważniejsze rzeczy powinny wymykać się procedurze.